

# **System sprzeczności ekonomicznych, czyli filozofia nędzy [fragment]**

Pierre-Joseph Proudhon

# Spis treści

1. O nauce ekonomii . . . . .	3
§ 1. Przeciwnieństwo między faktem a prawem w gospodarce społeczeństw .	3
§ 2. Braki teoryj i krytyki . . . . .	5
2. O wartości . . . . .	7
§ 1. Przeciwnieństwo między wartością użytkową a wartością wymienną . .	7
§ 2. Ukonstytuowanie się własności: definicja bogactwa . . . . .	12
3. Rozwój ekonomii . . . . .	13
Epoka pierwsza – podział pracy . . . . .	13
§ 1. Antagonistyczne skutki zasady podziału pracy . . . . .	13

# 1. O nauce ekonomii

## § 1. Przeciwnieństwo między faktem a prawem w gospodarce społeczeństw

Stwierdzam realność nauki ekonomicznej.

Teza ta, w którą niewielu tylko ekonomistów odważa się wątpić, jest, być może, najśmielszą, jaką filozof kiedykolwiek podtrzymywał; dalszy ciąg tych dociekań wykaże, mam nadzieję, że udowodnienie jej wymaga największego wysiłku ludzkiego umysłu.

Z drugiej strony z bezwzględną pewnością utrzymuję równocześnie, że nauka ekonomiczna, najczystsza, najbardziej, moim zdaniem, zrozumiała ze wszystkich nauk, znajdująca najlepsze wytłumaczenie w faktach, ma charakter *postępowy*: oto nowa teza, która czyni z tej nauki logikę lub metafizykę *in concreto* i radykalnie zmienia podstawy dawnej filozofii. Inaczej mówiąc, naukę ekonomii traktuję jako obiektywną formę i realizację metafizyki; jest to metafizyka w działaniu, metafizyka w perspektywie czasu; i ktokolwiek zajmuje się prawami pracy i wymiany – jest naprawdę i przede wszystkim metafizykiem.

Po tym, co już powiedziałem w prologu, nie powinno to być niczym dziwnym. Praca człowieka to dalszy ciąg dzieła Boga, który stwarzając wszystkie istoty działa poza sferą wiecznych praw rozumu. Nauka ekonomiczna jest więc siłą konieczności i zarazem teorią idei, teologią przyrodzoną i psychologią. I to samo przez się powinno wystarczyć do wytłumaczenia, dlaczego podejmując tematy ekonomiczne, powinienem uprzednio przypuścić istnienie Boga i dlaczego ja, zwykły ekonomista, aspiruje do rozwiązania zagadnienia pewności.

Pośpieszam jednak powiedzieć, że nie uważam za naukę ekonomiczną niespójnego zbioru teorii, którym prawie od stu lat nadaje się oficjalnie nazwę ekonomii politycznej, którą to nazwą, wbrew jej etymologii, obejmuje się w najlepszym razie kodeksowy czy też tradycyjny zbiór nawyków opartych na własności. Teorie te wnoszą do naszej wiedzy jedynie elementy, czyli pierwszy zarys nauki ekonomicznej. Oto dlaczego, podobnie jak własność, wszystkie one pozostają ze sobą w sprzeczności, a połowa z nich jest nie do zastosowania. Dowód na to twierdzenie, stanowiące w pewnym sensie negację ekonomii politycznej w tej postaci, jak ją przedstawili A. Smith, Ricardo, Malthus, J. B. Say, i której zastój widzimy od pół wieku, będzie przedmiotem niniejszych uwag.

Nieporadność ekonomii politycznej od niepamiętnych czasów zwracała uwagę umysłów skłonnych do rozmyślań, które nazbyt rozmiłowane w swych marzeniach, aby móc pogłębić stronę praktyczną, i skłonne do opierania swych sądów o niej na pozorach, utworzyły od początku grupę opozycyjną wobec status quo i poświęciły się wytrwale i systematycznie satyrze na cywilizację i jej zwyczaje. W zamian za to własność, tej podstawie wszystkich instytucji społecznych, nie brakło nigdy gorliwych obrońców, co chlubiąc się tytułem praktyków, odpłacali wojną za wojnę tym, co spotwarzali ekonomie polityczną, i śmiało a często zęcnie pracowali nad umocnieniem budowli, którą wzniosły pospołu powszechne przesady i wolność indywidualna. Trwający wciąż jeszcze spór między konserwatystami a reformatorami przypomina średniowieczny spór o uniwersalia, znany z historii filozofii.

Nie trzeba chyba dodawać, że zarówno z jednej, jak i z drugiej strony błąd i słusność równoważą się i że jedyną przyczyną nieporozumienia jest rywalizacja, ciasnota poglądów i nietolerancja.

Tak więc dwie potęgi walczą o rząd, nad światem i rzucają na siebie wzajem klątwy z żarliwością dwóch wrogich obrządków: ekonomia polityczna, czyli tradycyjna, i socjalizm, czyli utopia.

Co to jest, nazywając rzecz po imieniu, ekonomia polityczna? Co to jest socjalizm?

Ekonomia polityczna to zbiór spostrzeżeń czynionych do dziś dnia nad zjawiskami produkcji i podziału bogactw, czyli nad najogólniejszymi, najbardziej samorzutnymi, a wobec tego najbardziej autentycznymi formami pracy i wymiany.

Ekonomiści sklasyfikowali swe obserwacje tak dobrze, jak tylko umieli; opisali zjawiska, stwierdzili ich cechy przypadkowe i zachodzące między nimi stosunki; zauważyli, że w różnych okolicznościach mają one charakter konieczności i wtedy nazwali je prawami. Ten całokształt wiadomości opartych na najbardziej prymitywnych, że się tak wyrazimy, przejawach życia społeczeństwa stanowi ekonomię polityczną.

Ekonomia polityczna jest więc historią naturalną obyczajów, tradycji, działań i nawyków najbardziej oczywistych i najpowszechniej praktykowanych w dziedzinie produkcji i podziału bogactw. Z tego tytułu ekonomia polityczna uchodzi za uznaną f a k t y c z n i e i p r a w n i e : faktycznie, bo zjawiska, które bada, są stałe, samorzutne i uniwersalne; prawnie, bo te zjawiska mają za sobą autorytet rodzaju ludzkiego, który jest autorytetem najwyższym z możliwych. Toteż ekonomia polityczna uznawana jest za n a u k ę , czyli za wiedzę opartą na dowodach i systematyczną, o faktach zgodnych z rzeczywistością i koniecznych.

Socjalizm, który na podobieństwo boga Wisznu ciągle umiera i ciągle zmartwychwstaje i który dokonał w ciągu jakichś dwudziestu lat dziesięciu tysięcy wcieleń w osoby pięciu czy sześciu odkrywców – otóż socjalizm twierdzi, że obecna budowa społeczeństwa, a więc wszystkich poprzednich ustrojów jest anomalią. Utrzymuje on i udowadnia, że ustrój cywilizacyjny jest sztuczny i nieskuteczny, że sam z siebie wytwarza ucisk, nędzę i przestępstwo: oskarża, aby nie powiedzieć: szkaluje całą przeszłość życia społecznego i z całej siły dąży do przeistoczenia obyczajów i instytucji.

W konkluzji socjalizm stoi na stanowisku, że ekonomia polityczna jest hipotezą fałszywą, sofistyką wynalezioną w imię korzyści płynących z uciskania większej liczby ludzi przez mniejszą; i posługując się aforyzmem *fructibus cognoscetis*, kończy na tym, że dowodzi bezsilności i nicości ekonomii politycznej za pomocą wykazu klęsk ludzkich, za które czyni ją odpowiedzialną. (...)

Linia odgraniczająca socjalizm od ekonomii politycznej została więc nakreślona; wrogość ich jest oczywista.

Ekonomia polityczna skłonna jest uświęcić egoizm; socjalizm wynosi ponad wszystko zasadę współwłasności.

Ekonomiści poza przypadkami naruszenia pewnych ich zasad, o co uważają za słuszne oskarżać rządy, są optymistami, gdy idzie o fakty dokonane; socjaliści natomiast są optymistami w odniesieniu do faktów przyszłych.

Pierwsi twierdzą, że to, co być powinno – j e s t ; drudzy – że tego, co być powinno – n i e m a . A zatem pierwsi uważają się za obrońców religii, władzy i innych zasad współczesnych uznających własność, chociaż krytyka oparta tylko na założeniach rozumowych często powoduje ataki na ich przesady; drudzy odrzucają władzę i wiarę i powołują się wyłącznie na naukę, jakkolwiek pewna religijność, nie całkiem liberalna, i pewne niepoważne lekceważenie faktów stanowią najoczywistej cechę charakterystyczną ich poglądów.

Zresztą jedni i drudzy nie przestają się wzajemnie oskarżać o nieudolność i jałowość.

Socjaliści przedstawiają swym przeciwnikom rachunek za nierówność kondycji, za rozpuszny handel, gdzie monopol i konkurencja w potwornej jedności wiecznie rodzą zbytek i nędzę; teoriom ekonomicznym, stale wzorującym się na przeszłości, zarzucają, że przeszłość w tym stanie przedstawia się beznadziejnie; krótko mówiąc wskazują dobitnie, że ustroj oparty na własności to straszliwe przywidzenie, przeciwko któremu ludzkość od czterech tysięcy lat protestuje i broni się rękami i nogami.

Ekonomiści ze swej strony nie ufają socjalistom, nie wierzą, że stworzą oni system, w którym będzie się można obejść bez własności, konkurencji i policji; wykazują z dowodami w rękę, że wszystkie projekty reform były tylko i wyłącznie zlepkami fragmentów zapożyczonych od tego ustroju, który socjalizm oczernia, były, jednym słowem, plagiatem. Poza granicami ekonomii politycznej socjalizm nie jest zdolny do powzięcia ani do sformułowania żadnej idei. (...)

Cóż jest zatem koniecznego i prawdziwego w ekonomii politycznej? Dokąd ona zmierza? I co może? Co nam obiecuje? Oto co pragnę ustalić w swojej pracy. Co wart jest socjalizm, dowiemy się tego z tych samych dociekań.

Skoro bowiem cel, do którego zmierza i socjalizm, i ekonomia polityczna, jest koniec końców jeden i ten sam, mianowicie wolność, porządek i dobrobyt wśród ludzi, jest rzeczą oczywistą, że warunki, które trzeba spełnić, innymi słowy, trudności, które trzeba przezwyciężyć, aby dopiąć tego celu, są także dla nich obu te same; i pozostaje tylko rozważyć środki przedsiębrane lub proponowane zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Ponieważ jednak, jak dotąd, tylko ekonomia polityczna mogła urzeczywistnić swe idee, socjalizm bowiem stale poświęcał się jedynie satyrze, jest rzeczą oczywistą, że oceniając należycie usługi, jakie oddały prace ekonomiczne, sprowadzimy tym samym do ich właściwej wartości socjalistyczne deklamacje; w ten sposób nasza na pozór szczególna krytyka będzie podstawą konkluzji bezwzględnych i definitywnych.

Zanim z dociekaniem nad ekonomią polityczną sięgniemy do sedna rzeczy, należy dla lepszego zrozumienia spraw, posłużyć się kilkoma przykładami.

## **§ 2. Braki teoryj i krytyki**

Zanotujmy na wstępie ważne spostrzeżenie: oto współzawodnicy zgodni są co do tego, że odwołują się do wspólnego autorytetu, o którym każdy z nich mniema, że ma go tylko dla siebie, a mianowicie do n a u k i .

Utopista Platon; organizował swą idealną republikę w imię nauki, którą przez skromność i eufemizm nazywał filozofią. Praktyczny Arystoteles odrzucał utopie platoń-

ską w imię tejże filozofii. Tak więc wojna społeczna trwa od czasów Platona i Arystotelesa. Nowocześni socjaliści żądają, aby nauka była jedna i niepodzielna, ale nie mogą dojść do porozumienia ani co do treści, ani co do granic, ani co do metody tej nauki; ekonomiści ze swej strony twierdzą, że nauka społeczna to nic innego jak ekonomia polityczna.

Idzie więc przede wszystkim o ustalenie, czym może być nauka o społeczeństwie. Nauka w ogólności jest wiedzą rozumowaną i systematyczną o tym, co jest.

Stosując to podstawowe pojęcie do społeczeństwa, powiemy: Nauka społeczna jest wiedzą rozumowaną i systematyczną nie o tym, czym b y ł o społeczeństwo, ani też o tym, czym b ę d z i e , ale czym j e s t w ciągu całego swego życia, to jest we wszystkich swych kolejnych przejawach: tam bowiem tylko istnieć może rozsądek i system. Nauka społeczna powinna obejmować ustrój humanitarny nie tylko w tym a tym okresie jego istnienia ani też w postaci pewnych jego elementów, ale w zasięgu wszystkich jego zasad i w całokształcie jego egzystencji: jak gdyby rozwój społeczny, rozciągający się w czasie i przestrzeni, został nagle stłoczony w jeden ruchomy obraz, który ukazując szereg lat wieku i następowania po sobie, jedno po drugim, zjawisk, wydobywałby na jaw ich wzajemną zależność i ich jedność. Taka powinna być nauka o każdej rzeczywistości żywej i postępującej naprzód; taka też jest niezaprzeczalnie nauka społeczna.

Być może, iż ekonomia polityczna mimo dążeń indywidualistycznych i ekskluzywnych zapewnień była częścią konstytuującą nauki społecznej, w której ramach zjawiska przez nią opisywane były jak gdyby podstawowymi punktami rozległej triangulacji i elementami całości organicznej i złożonej. Z tego punktu widzenia postęp ludzkości, dokonujący się od form prostych do złożonych, byłby całkowicie zgodny z postępem nauk, a fakty niezgodne z tą zasadą i tak często obalające ją, fakty, które stanowią dziś podstawę i przedmiot ekonomii politycznej, powinny być traktowane jako hipotezy szczególne, stopniowo realizowane przez ludzkość mającą na względzie hipotezę nadrzędną, której urzeczywistnienie rozwiązałoby wszelkie trudności i bez przekreślenia ekonomii politycznej dawałoby zadośćuczynienie socjalizmowi. Ale, jak to powiedziałem w prologu, nie możemy w żaden sposób przypuścić, że bez względu na sposób wyrażania się ludzkość jest w błędzie.

Przedstawmy to teraz jaśniej, przekładając na język faktów.

Sprawą najbardziej sporną jest dzisiaj niezaprzeczenie o r g a n i z a c j a p r a c y . (...)

Nie ulega jednak wątpliwości, że pojęcie o r g a n i z a c j a p r a c y jest równie jasne i równie racjonalne, jak następujące wyrażenia: organizacja zakładu wytwórczego, organizacja armii, organizacja policji, organizacja dobroczynności, organizacja wojny. Z tego punktu widzenia wystąpienia ekonomistów noszą na sobie piętno pożałowania godnego braku rozsądku. Nie mniej pewną jest rzeczą, że organizacja pracy nie może być utopią ani chimerą, ponieważ od chwili, gdy praca, ten zasadniczy warunek cywilizacji, istnieje, to z tego już wynika, że podlega ona jakiejś organizacji, którą ekonomiści mogą uważać za dobrą, a jednocześnie socjaliści mogą uważać za ohydą.

W sprawie sformułowanej przez socjalizm propozycji zorganizowania pracy należałoby więc uznać, że praca została zorganizowana. Otóż takie twierdzenie jest absolutnie nie do utrzymania, jest bowiem rzeczą bezsporną, że w dziedzinie pracy – podaż, popyt, po-

dział, ilość, proporcja, cena, gwarancja – nic, absolutnie nic nie jest uregulowane, wręcz przeciwnie, wszystko jest zdane na kaprysy swobodnej gry, czyli na przypadek.

Co się tyczy nas samych, którzy kierujemy się myślą, że musimy stosować się do nauki moralnej, to wbrew socjalistom i wbrew ekonomistom będziemy stali na stanowisku: nie, że trzeba organizować pracę, ani też, że jest ona zorganizowana, ale że się ona organizuje.

Praca – mówimy – organizuje się: jest więc w trakcie organizowania się od początku świata i będzie się organizowała do końca świata. Ekonomia polityczna uczy nas pierwszych elementów tej organizacji; ale socjalizm ma słuszość, gdy utrzymuje, że w obecnej postaci organizacja jest niedostateczna, że ma charakter przejściowy, a całe posłannictwo nauki polega na nieprzerwanym dociekaniu – mając na względzie uzyskane wyniki i zjawiska będące w stadium realizacji – jakie innowacje mogą być od razu urzeczywistnione.

Socjalizm i ekonomia polityczna, wydając sobie krotocwilną wojnę, działają w istocie rzeczy w imię jednej i tej samej idei – organizacji pracy.

Ale i na socjalizmie, i na ekonomii politycznej ciąży wina niewierności nauce i wzajemnych zniewag, skoro ekonomia polityczna, biorąc te strzępy teorii za naukę, wyrzeka się wszelkiego postępu w przyszłości i skoro socjalizm, wyrzekając się tradycji, dąży do odbudowy społeczeństwa na podstawach, których znaleźć niepodobna. Tak więc socjalizm jest niczym bez głębokiej krytyki i nieustannego rozwoju ekonomii politycznej; i że posłużymy się tutaj słynnym aforyzmem: *Nihil est in intellectu, quod prius non fuerit in sensu*, w hipotezach socjalistów nie ma nic takiego, czego nie można by znaleźć w praktyce ekonomicznej. Ekonomia polityczna zaś nie jest niczym innym, jak nieskoordynowanym zlepkiem, skoro uważa za bezwarunkowo pozostające w mocy fakty zgromadzone przez Adama Smitha i J.B. Saya. (...)

## **2. O wartości**

### **§ 1. Przeciwnieństwo między wartością użytkową a wartością wymienną**

Wartość jest kamieniem węgielnym konstrukcji ekonomicznej. Boski artysta, który powierzył nam prowadzenie nadal swego dzieła, nie udzielił nikomu wskazówek, ale z kilku znamiennych faktów można je odgadnąć. W istocie wartość ma dwa oblicza: jedno, które ekonomiści nazywają wartością użytkową, czyli wartością samą w sobie, i drugie – wartość wymienną, czyli wartość względną. Skutki, jakie powoduje wartość pod tym dwojakim względem, a które są bardzo nieregularne, ponieważ nie jest ona ustalona, czyli – że się wyrazimy bardziej filozoficznie, ponieważ nie jest ukonstytuowana, zmieniają się całkowicie w zależności od tej konstytucji.

Otóż, na czym polega współzależność między wartością użytkową a wartością wymienną; co trzeba rozumieć przez wartość konstyтуowaną i przez jakie skomplikowane przejścia dokonuje się to ukonstytuowanie: oto przedmiot i cel ekonomii

politycznej. Błagam czytelnika o skupienie całej swej uwagi na tym, co ma nastąpić: jest to jeden jedyny rozdział w całej niniejszej pracy, który wymaga z jego strony trochę dobrej woli. Ze swojej strony będę usiłował być coraz bardziej prosty i jasny.

Wszystko, co może mi w jakikolwiek sposób służyć, ma dla mnie wartość, i tym jestem bogatszy, im więcej mam tego, co jest mi użyteczne; tutaj nie nasuwa się żadna trudność. Mleko i mięso, owoce i zboże, wełna, cukier, bawełna, wino, metale, marmur, wreszcie ziemia, woda, powietrze, ogień i słońce są dla mnie wartościami użytkowymi, wartościami z natury rzeczy i z przeznaczenia. Gdybym wszystkie rzeczy potrzebne mi do istnienia znajdował w równej obfitości jak niektóre z nich, na przykład światło, inaczej mówiąc, gdyby ilość każdego rodzaju wartości była niewyczerpana, dobrobyt mój byłby raz na zawsze zapewniony: nie miałbym, po co pracować i nawet bym o pracy nie myślał. W tej sytuacji w rzeczach tkwiłaby zawsze użyteczność; ale niesłusznie byłoby mówić, że rzeczy mają wartość, bo wartość, jak to niedługo zobaczymy, świadczy o istnieniu stosunku ze swej istoty społecznego; i właśnie jedynie w drodze wymiany, dokonując pewnego rodzaju powrotu społeczeństwa do natury, doszliśmy do pojęcia użyteczności. Rozwój cywilizacji zależny jest zatem od konieczności, w jakiej tkwi rasa ludzka, konieczności bezustannego powodowania powstawania coraz to nowych wartości, podobnie jak cierpienia społeczeństwa mają swe prąźródło w nieustannej walce, jaką toczy z naszą własną inercją. Odbierając człowiekowi tę potrzebę, która pobudza myśl i dostosowuje ją do życia kontemplacyjnego, a oto pan stworzenia będzie nie czym innym, jak pierwszym spośród czworonogów.

Ale jakim sposobem wartość użytkowa staje się wartością wymienną? Trzeba bowiem zwrócić uwagę, że te dwa rodzaje wartości, jakkolwiek współczesne w myśleniu (bo pierwszą spostrzec można tylko przy sposobności występowania drugiej), przypuszczają mimo to stosunek sukcesji: wartość wymienna występuje bowiem jako pewnego rodzaju odbicie wartości użytkowej, podobnie jak teologowie nauczają, iż w Trójcy Ojciec, rozpamiętując całą wieczność, płodzi Syna. To płodzenie idei wartości nie było w dostatecznej mierze wzięte pod uwagę przez ekonomistów; toteż trzeba się trochę zatrzymać przy tej kwestii.

Wobec tego, że spośród rzeczy, których mi potrzeba, bardzo wiele istnieje w naturze w ilości nieznacznej albo nawet nie istnieje zupełnie, jestem zmuszony sam przysłużyć się do wyprodukowania tego, czego mi brak, ale ponieważ sam nie mogę przyłożyć ręki do tylu rzeczy, proponuję innym ludziom, moim współpracownikom w zakresie różnych działań, żeby mi odstąpili część swych produktów w zamian za moje własne. Będę przecież zawsze miał w swoim ręku więcej mego własnego specyficznego produktu, niż go konsumuję, tak samo, jak ci, z którymi wejdę w kontakt, będą mieli w swoim ręku więcej pewnych przedmiotów, niż im potrzeba. To ciche porozumienie dokonuje się za pomocą h a n d l u . Przy tej sposobności zwróćmy uwagę, że sukcesja logiczna obu rodzajów wartości przejawia się o wiele dobitniej w historii niż w teorii, ludzie przeżyli bowiem tysiące lat na wydzieraniu sobie wzajem dóbr natury (co nazywa się w s p ó l n o t ą p i e r w o t n ą ), zanim ich zajęcia dały im możliwość dokonywania wymiany.

Otóż własność bycia środkiem utrzymania dla człowieka, jaką posiadają wszystkie produkty bądź natury, bądź też przemysłu, nazywa się wartością użytkową; własność polegająca na tym, że środki te mogą być wymieniane jedne na drugie, nosi miano wartości



wymiennej. W istocie jest to jedno i to samo, ponieważ drugi przypadek dodaje tylko do pierwszego ideę substytucji i wszystko to może się wydać niepotrzebną subtelnnością; w rzeczywistości skutki są zdumiewające i na przemian to są pomysły, to znów opłakane.

A zatem rozróżnienie w dziedzinie wartości opiera się na faktach i nie zawiera w sobie żadnej dowolności. Rzeczą człowieka, jako podlegającego temu prawu, jest obrócić je na polepszenie swego bytu i rozszerzenie swej wolności. Praca, zgodnie z pięknym powiedzeniem Walrasa, to wojna wydana skąpstwu przyrody. To dzięki niej powstaje jednocześnie bogactwo i społeczeństwo. Praca nie tylko wytwarza bez porównania więcej dóbr, niż nam daje przyroda (np. zauważono, że sami tylko szewcy francuscy produkowali dziesięć razy więcej niż kopalnie peruwiańskie, brazylijskie i meksykańskie razem wzięte), lecz także wskutek przekształceń, jakim poddaje wartości naturalne, rozszerzając i mnożąc w nieskończoność swoje prawa, sprawia, że każde bogactwo, przeszedłszy przez różne dziedziny przemysłu, powraca w całości do tego, co je stworzył, nie pozostawiając nic lub prawie nic właścicielowi surowców.

Przebieg rozwoju ekonomicznego jest więc następujący: na początku zawłaszczenie ziemi i bogactw naturalnych, następnie zrzeszanie się i podział na gruncie pracy aż do całkowitej równości. Na drodze tej spotykamy wiele przepaści, miecz stale wisi nad naszymi głowami; ale na to, by zażegnać wszystkie niebezpieczeństwa, mamy za sobą słusność, a słusność to wszechmoc.

Ze stosunku wartości użytkowej do wartości wymiennej wynika, że gdyby przez nie szczęśliwy wypadek lub złośliwość wymiana została jednemu z producentów zakazana albo gdyby użyteczność jego produktu nagle przestała istnieć, to on przy pełnych składach nie posiadałby nic. Im więcej czyniłby poświęceń i im więcej wyęczałby energie, aby produkować, tym większa byłaby jego nędza. Gdyby użyteczność jego produktu nie znikła całkowicie, ale tylko się zmniejszyła, co może zaistnieć na sto sposobów, pracownik, zamiast być dotknięty przez upadek i zrujnowany przez nagłą katastrofę, doznałby tylko zubożenia; gdyby był zmuszony dostarczać wielką ilość swych wartości za drobną ilość cudzych wartości, to jego środki utrzymania zmniejszyłyby się w stosunku równym powstałemu przy tym deficytowi sprzedaży, co przez kolejne stopnie dobrobytu doprowadziłoby go do wyczerpania. Wreszcie, gdyby użyteczność jego produktu zaczęła wzrastać albo gdyby produkcja stała się mniej kosztowna, bilans wymiany obróciłby się na korzyść producenta, którego dobrobyt mógłby tym sposobem zacząć się podnosić od mierności połączonej z ciężką pracą do próżniaczego dostatku. To zjawisko kolejno deprecjacji majątku to znów bogacenia się przejawia się w tysiącnych formach i tysiącnych kombinacjach: na tym właśnie polega pełna pasji życiowej i intrygująca gra handlu i przemysłu. To jest właśnie pełna zasadzek loteria, którą ekonomiści chcieliby utrwalić na wieki, a której zniesienia domaga się, sama o tym nie wiedząc, Akademia Nauk Moralnych i Politycznych, skoro pod mianem zysku oraz płacy żąda uzgodnienia wartości użytkowej i wartości wymiennej, to znaczy znalezienia takiego środka, który pozwoliłby wszystkim wartości uczynić jednako wymiennymi i vice versa – wszystkie wartości wymienne jednakowo użytecznymi.

Ekonomiści bardzo dobrze zrobili, uwydatniając dwoisty charakter wartości, ale nie wykazali z taką samą jasnością jej kontradykcyjnego charakteru. I tutaj bierze początek nasza krytyka.

Użyteczność jest koniecznym warunkiem wymiany; usuńcie jednak wymianę, a użyteczność spadnie do zera: te dwa pojęcia są ze sobą nierozzerwalnie związane. Gdzież więc pojawia się sprzeczność? (...)

1°. Kontradykcyjność idei wartości, tak dobrze wyjaśniona przez nieuchronne rozróżnienie wartości użytkowej i wartości wymiennej, nie wypływa z błędnej apercpcji umysłu ani z błędu terminologicznego, ani też z jakiegoś wypaczenia o charakterze praktycznym, ale tkwi w samej istocie rzeczy i narzuca się umysłowi jako ogólna forma myśli, czyli jako kategoria. Otóż z tego, że pojęcie wartości stanowi punkt wyjścia ekonomii politycznej, wynika, że wszystkie elementy tej nauki – używam tu słowa „nauki”, wybiegając naprzód – są kontradykcyjne same w sobie i są sobie wzajemnie przeciwstawne tak, że w każdej kwestii ekonomista czuje się wzięty w dwa ognie – z jednej strony twierdzenie, z drugiej przeczenie, oba jednakowo niezbite. A n t y n o m i a , że się posłużę słowem uświęconym przez nowoczesną filozofię, jest znamioną cechą ekonomii politycznej, czyli wyrokiem śmierci na nią, ale zarazem jest jej usprawiedliwieniem.

A n t y n o m i a , dosłownie przeciwprawo (contra-loi), oznacza opozycje z zasady lub antagonizm w stosunku, tak samo, jak a n t y l o g i a wskazuje na przeciwstawność lub s p r z e c z n o ś ć w wywodzie. Antynomia – przepraszam, że wchodzę w te szczegóły scholastyczne, weszły one jednak w nawyk większości ekonomistów – antynomia, powtarzam, to koncepcja prawa o dwu obliczach – jednym pozytywnym, a drugim negatywnym. Takie jest na przykład prawo zwane prawem p r z y c i ą g a n i a , które sprawia, że planety krążą wokół Słońca, a które geometrycy podzielili na siłę środkową i ośrodkową. Należy tu jeszcze zagadnienie podzielności materii w nieskończoność, które – jak wykazał Kant – może być na przemian przedmiotem afirmacji i negacji przy użyciu argumentów zarówno dopuszczalnych, jak niezbitych.

Antynomia może wyrażać tylko fakt i narzuca się władczo umysłowi; sprzeczność w ścisłym tego słowa znaczeniu jest niedorzecznością. To rozróżnienie między antynomią (contra-lex) a sprzecznością (contradictio) wskazuje, w jakim znaczeniu można było powiedzieć, że w pewnym uszeregowaniu idei oraz faktów argument sprzeczności nie ma tej samej wartości co w matematyce.

W matematyce panuje zasada, że jeśli została udowodniona fałszywość danego twierdzenia, to twierdzenie odwrotne jest prawdziwe; i na odwrót. Zasada ta jest doniosłym środkiem, za pomocą którego dowodzi się w matematyce. W dziedzinie ekonomii społecznej nie da się go już zastosować. Zobaczmy na przykład, że jeśli dowiedzie się, iż idea własności jest błędna, to formuła przeciwna, formuła wspólnoty, nie jest przez to samo prawdziwa i może ulec zaprzeczeniu równocześnie, i to z tego samego tytułu co własność. Czy z tego wynika – jak powiedziano z dość zabawną emfazą – że każda prawda, każda idea bierze początek w sprzeczności, czyli w czymś, co się równocześnie afirmuje i neguje z jednego i tego samego punktu widzenia, i że trzeba odrzucić od siebie precz dawną logikę, która sprzeczność uznaje za oznakę błędu? Ta gadanina godna jest

sofistów, którzy bez dobrej wiary, nieuczciwie pracują nad uwiecznieniem sceptycyzmu po to, by zachować swą beczelną beużyteczność. Wobec tego, że antynomia, gdy tylko zostaje zapoznana, prowadzi niechybnie do sprzeczności, brano je jedną za drugą, zwłaszcza w języku francuskim, tu bowiem ludzie mają zwyczaj określać każdą rzecz według jej skutków. Ale ani sprzeczność, ani antynomia, którą analiza odnajduje u podstawy każdej prostej idei, nie jest źródłem prawdy. Sprzeczność jest zawsze synonimem nicości; co się tyczy antynomii, którą utożsamia się niekiedy ze sprzecznością, to jest ona rzeczywiście zwiastunem prawdy; dostarcza jej, że tak powiem, materiału; ale sama nie jest w żadnym razie prawdą i rozważana w swej istocie jest causa efficiens chaosu, formą właściwą kłamstwu i złu.

Antynomia składa się z dwóch członów zawsze sobie przeciwstawnych i dążących do zniszczenia się wzajem, ale jednak koniecznych, aby antynomia w ogóle zaistniała. Zaledwie odważam się dodać, ale trzeba uczynić ten krok, że pierwszy z tych członów otrzymał nazwę t e z y – twierdzenia, drugi zaś nazwę – a n t y t e z y przeciwtwierdzenia. Mechanizm ten jest obecnie tak dobrze znany, iż mam nadzieję, że wkrótce znajdzie się w programach szkół podstawowych. Już za chwilą zobaczymy, jak te dwa zła, łączące się ze sobą, dadzą jedność, czyli idee, która prowadzi do zniknięcia antynomii.

A więc w dziedzinie wartości nie ma nic użytecznego czego, by nie można wymienić, nic wymiennalnego, co nie byłoby użyteczne: wartość użytkowa i wartość wymienna są nierozdzielne. Ale podczas gdy wskutek postępu przemysłu popyt zmienia się i różnicuje w nieskończoność, podczas gdy wraz z tym fabrykacja dąży do podniesienia naturalnej użyteczności rzeczy i koniec końców do przetworzenia każdej wartości użytecznej w wartość wymienną – z drugiej strony produkcja, nieustannie podnosząc zdolność wytwórczą i nieustannie obniżając koszty, zmierza do sprowadzenia sprzedażności rzeczy do użyteczności pierwotnej: tym sposobem wartość użytkowa i wartość wymienna są wiecznie w walce.

Skutki tej walki są znane: są to przepisy celne i wojny o rynki zbytu, zatory, zastoje, zakazy przywozu i wywozu, niszczenie konkurencji, monopole, deprecjacja płac, maksymalne ceny, niepomierne różnice majątkowe, nędza: wszystko to wypływa z antynomii wartości. Niechże czytelnik zwolni mnie od przedstawienia tutaj dowodów, które naturalnym biegiem rzeczy wynikną z następnych rozdziałów.

Socjaliści, słusznie domagając się końca tego antagonizmu, błędzili jednak, nie znając jego źródła i widząc w nim jedynie błąd zdrowego rozsądku, który można naprawić dekretem władzy publicznej. Stąd wybuch tej żalostkowej, która uczyniła socjalizm tak ckliwym w pojęciu umysłów pozytywnych i która, szerząc najniedorzeczniejsze złudzenia, znajduje wciąż jeszcze tylu naiwnych. Socjalizmowi nie zarzucam tego, że zjawił się bez powodu, ale to, że tak długo i tak uparcie pozostawał głupi.

2°. Ale ekonomiści popełnili błąd nie mniej ciężki, odrzucili mianowicie a priori – a przy tym właśnie na mocy kontradiktoryjnych lub raczej antynomicznych danych o wartości – wszelką myśl o reformie i wszelką nadzieję z nią związaną, nie chcąc nigdy zrozumieć, że społeczeństwo już przez to samo, że doszło do szczytowego okresu antagonizmu, bliskie jest pojednania i harmonii. A przecież dociekliwa analiza ekonomii politycznej pozwoliłaby jej adeptom n a m a c a l n i e zdać sobie z tego sprawę, gdyby więcej liczyli

się ze zdobyciami nowożytnej metafizyki. W istocie jest rzeczą dowiedzioną za pomocą najbardziej pozytywnych danych, jakie zna umysł ludzki, że tam, gdzie przejawia się antynomia, tam jest też obietnica rozwiązania sylogizmu, a zatem zapowiedź przeobrażenia. Otóż pojęcie wartości w tej postaci, w jakiej zostało przedstawione między innymi przez J. B. Saya, podpada pod ten przypadek. Ale ekonomiści, którzy przez niepojętą fatalność w przeważającej części pozostali obcy ruchowi filozoficznemu, nie przypuszczali, że zasadniczo kontradiktoryjny lub, jak oni mówili, zmienny charakter wartości był jednocześnie autentyczną oznaką jej konstytucjonalności – chciałbym przez to powiedzieć: jej natury harmonijnej i dającej się określić. (...)

## **§ 2. Ukonstytuowanie się własności: definicja bogactwa**

(...) Wartość rozumiana jako proporcjonalność produktów, inaczej mówiąc, w a r t o ś ć u k o n s t y t u o w a n a zakłada siłą konieczności u ż y t e c z n o ś ć i s p r z e d a ż n o ś ć , nierozzerwalnie i harmonijnie ze sobą połączone. Zakłada użyteczność, bo bez spełnienia tego warunku produkt byłby pozbawiony tego podobieństwa do innych produktów, które sprawia, że jest on wymienialny, i które czyni go składnikiem bogactwa; zakłada sprzedażność, bo gdyby produkt w każdej chwili i po ustalonej cenie nie nadawał się do wymiany – byłby nie-wartością, byłby niczym.

Ale w ramach wartości ukonstytuowanej wszystkie te właściwości nabierają znaczenia szerszego, bardziej prawidłowego, prawdziwego niż przedtem. A zatem użyteczność nie jest już tą właściwością, że tak powiem, inertną, jaką mają rzeczy służące do zaspokajania naszych potrzeb i będące przedmiotem naszych dociekań; odtąd sprzedażność nie jest już tą przesadną ślepą ani nieuzasadnioną opinią; wreszcie zmienność przestaje znajdować wyraz w przesiąkniętej złą wiarą rozgrywce między podażą i popytem; wszystko to znikło, aby ustąpić miejsca idei pozytywnej, normalnej i bez względu na wszelkie możliwe zmiany dającej się określić. Dzięki ukonstytuowaniu się wartości każdy produkt – jeśli można posłużyć się taką analogią – jest jak pokarm, który odkryty przez instynkt odżywiania się, następnie przygotowany przez organ trawienia, wchodzi do ogólnego obiegu i zgodnie z określonymi stosunkami przemienia się w skórę, kości, substancje płynne itd., dając ciało życie, siłę i piękność.

Otóż co się dzieje z ideą wartości wówczas, gdy antagonistyczne pojęcia wartości użytkowej i wartości wymiennej podnosimy do poziomu wartości ukonstytuowanej, czyli wartości bezwzględnej? Następuje – że pozwolę sobie tak powiedzieć – wzajemny ucisk, wzajemne przenikanie się, spowodowane tym, że te dwa elementarne pojęcia zderzają się ze sobą jak odchylające się od pionu atomy Epikura, pochłaniają jedno drugie i znikają, pozostawiając na swoim miejscu połączenie obdarzone, ale w stopniu wyższym, wszystkimi właściwościami pozytywnymi i pozbawione właściwości negatywnych. Wartość rzeczywiście taka – a więc pieniądz, pierwszorzędny papier wartościowy, renta państwowa, akcje solidnego przedsiębiorstwa – nie może bez powodu nadmiernie urosnąć ani stracić przy wymianie: podlega ona jedynie naturalnemu prawu zwyżki wartości poszczególnych artykułów przemysłowych i wzrostu produkcji. Co więcej, wartość taka nie jest bynajmniej

wynikiem porozumienia, eklektyzmu, sprawą jakiegoś złotego środka czy też mieszaniny: jest to produkt zupełnego zlania się, produkt całkiem nowy i różny od swych składników, tak jak woda, wynik połączenia tlenu i wodoru, jest ciałem swoistym, całkowicie różnym od jej części składowych.

Przekształcenie dwóch antytetycznych idei w trzecią ideę, idee wyższego rzędu, jest tym, co po szkolnemu nazywa się syntezą. Dopiero synteza wprowadza ideę pozytywną i zupełną, którą otrzymuje się – jak widzieliśmy – przez kolejną afirmację lub negację, bo to na jedno wychodzi, dwóch pojęć diametralnie przeciwstawnych. Stąd wyprowadza się wnioski o kapitalnym znaczeniu zarówno w zastosowaniu, jak i w teorii: ilekroć w dziedzinie moralności, historii lub ekonomii politycznej analiza stwierdziła antynomię pewnej idei, można stwierdzić a priori, że antynomia ta kryje w sobie ideę wyższą, która wcześniej czy później wyjdzie na jaw.

### **3. Rozwój ekonomii**

#### **Epoka pierwsza – podział pracy**

Podstawowym pojęciem, dominującą kategorią ekonomii politycznej jest *w a r t o ś ć*. Pozytywne określenie wartości następuje poprzez szereg wahań między *p o d z i a ł a p o p y t e m*.

W konsekwencji wartość przybiera kolejno trzy formy: wartości użytkowej, wartości wymiennej i wartości syntetycznej lub społecznej, która jest wartością prawdziwą. Pierwsza z tych postaci rodzi przez zaprzeczenie drugą, obie zaś razem, łącząc się i wzajemnie przenikając, dają początek trzeciej; i tym sposobem sprzeczność czy antagonizm idei okazuje się punktem wyjścia całej nauki ekonomii. (...)

Wykazując więc, że ekonomia polityczna ze wszystkimi swoimi sprzecznymi hipotezami i dwuznacznymi wnioskami jest niczym innym, jak organizacją przywileju i nędzy, dowiodę tym samym, że mieści ona w sobie z natury rzeczy obietnice organizacji pracy i równości, zgodnie bowiem z tym, co powiedzieliśmy, każda systematyczna sprzeczność jest zapowiedzią syntezy; co więcej, zbuduje podstawy tej syntezy. Stąd też wyłożyć system sprzeczności ekonomicznych – to kłaść podwaliny powszechnego związku; wyjaśnić, w jaki sposób produkty zbiorowej pracy *w y s ł y* ze społeczeństwa – to wskazać drogę, która umożliwi ponowne ich doń *w p r o a d z e n i e*; ukazać genezę zagadnień produkcji i rozdziału – to przygotować ich rozwiązanie. Wszystkie te twierdzenia są tożsame i równie oczywiste.

#### **§ 1. Antagonistyczne skutki zasady podziału pracy**

(...) W istocie swego podziału pracy jest sposobem, w jaki urzeczywistnia się równość stanów i inteligencji. On to właśnie, poprzez zróżnicowanie funkcji, stwarza podstawy proporcjonalności produktów i równowagi w wymianie, przez co otwiera drogę do bogactwa; a także,

odsłaniając nam wszędzie, zarówno w sztuce, jak i w przyrodzie, nieskończoność, prowadzi nas do idealizacji wszystkich naszych czynności i czyni umysł nasz twórczym, mentem diviniorem, to znaczy nadaje mu cechy boskości – immanentnej i dostrzegalnej cech, wszystkich pracujących.

Podział pracy jest więc pierwszą fazą zarówno rozwoju ekonomicznego, jak i postępu umysłowego; nasz punkt wyjścia okazuje się prawdziwy tak w odniesieniu do człowieka, jak i w stosunku do rzeczy; tok zaś naszego wykładu nie jest bynajmniej dowolny.

Lecz w uroczystej godzinie podziału pracy nad ludzkością zrywa się wichur zwiastujący burzę. Postęp nie dokonuje się dla wszystkich w sposób jednakowy i jednolity, jakkolwiek w końcu musi osiągnąć i przekształcić każdą istotę rozumną i pracującą. Początkowo ogarnia on małą liczbę uprzywilejowanych, którzy stają się w ten sposób elitą narodów, podczas gdy masy utrzymują się lub nawet pogrążają w barbarzyństwie. Postęp ma swoich wybrańców; to właśnie sprawiło, iż tak długo wierzą w naturalną i opatrnościową nierówność stanów, to także zrodziło kasty i ukształtowało wszystkie społeczeństwa na zasadzie hierarchii. Nie rozumiano, iż wszelka nierówność, będąc zawsze tylko negacją, nosi w sobie znamię swej nieprawości i zapowiedź swojego upadku; tym bardziej nie umiano sobie wyobrazić, by nierówność ta wywodziła się przypadkowo z przyczyny, którą jej późniejszy skutek miał całkowicie usunąć.

Tak więc antynomia wartości odtworzyła się w prawie podziału i stało się tak, że najważniejsze i najpotężniejsze narzędzie wiedzy i bogactwa, jakie Opatrzność włożyła w nasze ręce, przekształciło się dla nas w narzędzie nędzy i głupoty. Oto jak brzmi to nowe prawo przeciwieństw, któremu zawdzięczamy dwie najdawniejsze choroby cywilizacji, arystokrację i proletariata: praca, dzieląc się zgodnie ze swoim wewnętrznym prawem, które jest zasadniczym warunkiem jej płodności, zaprzecza ostatecznie swoim celom i sama siebie unicestwia; innymi słowy podział, poza którym nie ma postępu, nie ma bogactwa, nie ma równości, spycha robotnika na podrzędne stanowisko, czyni inteligencję bezużyteczną, bogactwo szkodliwym, a równość niemożliwą.

Wszyscy ekonomiści, poczynając od A. Smitha, wskazywali na dodatnie i ujemne strony prawa podziału, kładąc jednak dla dogodzenia swemu optymizmowi o wiele większy nacisk na pierwsze niż na drugie; żaden zaś z nich nigdy nie zadał sobie pytania, czym mogą być ujemne strony tego prawa. Oto jak streścił zagadnienie J.B. Say: „Człowiek, który wykonuje przez całe życie jedną i tę samą czynność, z pewnością osiąga w niej większą niż inni wprawę i szybkość; zarazem jednak staje się mniej zdolny do wykonywania jakiegokolwiek innej czynności, czy to fizycznej, czy to umysłowej; pozostałe jego zdolności wygasają; a następstwem tego jest degeneracja człowieka jako jednostki. Smutne daje o sobie świadectwo, kto nigdy nie robił nic innego poza osiemnastą częścią szpilki: nie należy przy tym mniemać, że jedynie robotnik, który przez całe życie włada pilnikiem lub młotem, poniża w ten sposób godność swojej natury: dotyczy to także człowieka, który zawodowo posługuje się najwyższym i władzami swojego umysłu... W rezultacie powiedzieć można, że rozdział prac jest sprawnym spożytkowaniem sił człowieka, że niesłuchanie pomnaża produkty społeczeństwa, że jednak uszczupla zdolności każdego człowieka jako jednostki” (Traite d’Economie politique).

Co więc poza pracą stanowi pierwszą przyczynę pomnożenia bogactw i wzrostu sprawności robotników? Podział.

Co jest pierwszą przyczyną upadku umysłowego i, jak tego nie omieszkam, dowieść, ucivilizowanej nędzy? Podział.

Jakim sposobem ta sama zasada prowadzić może do diametralnie przeciwstawnych skutków, chociaż następstwa jej śledzi się ze ścisłą dokładnością? Żaden ekonomista ani przed A. Smithem, ani po nim, nie dostrzegał nawet tego zagadnienia. Say posuwa się aż do stwierdzenia, że w podziale pracy ta sama przyczyna, która rodzi dobro, wywołuje zło; po czym wygłosiwszy kilka słów litości dla ofiar podziału rzemiosł, zadowolony, że wyłożył sprawę bezstronnie i wiernie, odprawia nas z kwitkiem. „Wiecie już, zdaje się mówić, że im dalej posuwa się podział pracy, tym bardziej zwiększa się jej moc produkcyjna, lecz jednocześnie praca, osiągając coraz większy stopień mechanizacji, coraz bardziej stępia inteligencję”.

Daremnie oburzamy się na teorię, która, stwarzając dzięki samej pracy arystokrację zdolności, prowadzi nieuchronnie do nierówności społecznej; na próżno zapewniamy, w imię demokracji i postępu, że w przyszłości nie będzie już ani szlachty, ani burżuazji, ani pariasów. Niewzruszony, niczym przeznaczenie, ekonomista powiada: „Jesteście skazani na to, by wytwarzać dużo i by wytwarzać tanio; w przeciwnym wypadku przemysł wasz zawsze będzie wątły, wasz handel – żaden, i wlec się będzie w ogonie cywilizacji, miast objąć jej przewodnictwo”. – Jak to! Byliżby więc wśród nas, istot szlachetnych, tacy, którym przeznaczone jest zezwierżenie? Czyż w miarę doskonalenia się naszego przemysłu musi wzrastać liczba naszych wyklętych braci?... Niestety!... Oto ostatnie słowo ekonomisty.

Nie można nie uznać, że podział pracy jako fakt ogólny i jako przyczyna posiada wszelkie cechy p r a w a ; ponieważ jednak prawo to rządzi dwoma szeregami zjawisk całkowicie przeciwnych i wzajemnie się unicestwiających, przyznać trzeba również, że jest to prawo nieznanego naukom ścisłym rodzaju, że jest to – rzecz szczególna – prawo sprzeczne: p r z e c i w p r a w o , antynomia. Z góry dodajmy, że zdaje się to być cechą szczególną całej ekonomii społecznej, a stąd też i filozofii (...).

Anarcho-Biblioteka  
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Pierre-Joseph Proudhon  
System sprzeczności ekonomicznych, czyli filozofia nędzy [fragment]

chomikuj.pl

**pl.anarchistlibraries.net**